

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

WIKTOR STEPHAN

SARNA

(Cervus capreolus).

(Praca nagrodzona na konkursie Warszawskiego oddziału Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa, wydana w broszurce, nakładem „Łowca polskiego“).

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III.

Hodowla.

Karmienie sztuczne. — Lizawki. — Wodopoje. — Obliczanie sarn. — Odstrzeliwanie, czyli ustanawianie etatu. — Życie w niewoli. — Sztuczne zaprowadzanie sarn.

Rogacz jest przez cały rok złośliwy, a odwaga i śmiałość jego potęgują się w czasie rui. Charakterystyczną, a dla nieświadomego tem niebezpieczniejszą jest ta okoliczność, że rogacz zbliża się do osoby, liże jej ręce, tak, że na pozór nietylko żadnego niema niebezpieczeństwa, ale przeciwnie, zachodzi jaknajlepsza harmonia i stosunek przyjaźni; tymczasem ni z tego, ni z owego, w jednej chwili bodzie.

Okazuje się zatem, że lizanie u sarn nie jest oznaką przyjaźni, jak n. p. u psa, ale znakiem gniewu, którego, zdaje się, innym sposobem ujawnić nie umieją.

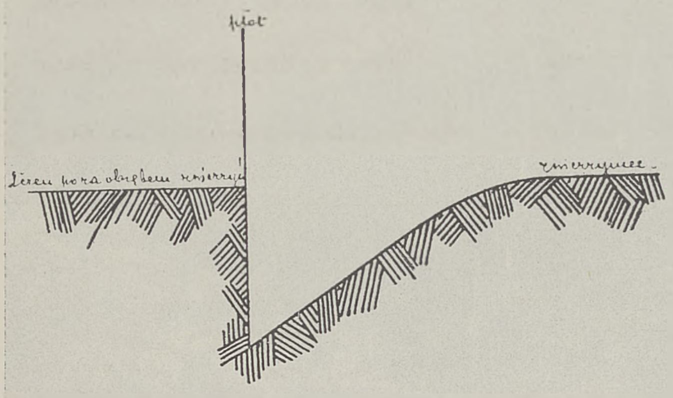
Bywają wypadki, że rogacz wcale niechowany, ani oswajany, wśród lasu może się stać niebezpiecznym. Znam wypadek, który się zdarzył przed 10 laty w Galicji, w dobrach Sędziszowskich, należących do hrabiego A. Potockiego, gdzie w czasie spaceru większego towarzystwa w remizie świerkowej, opodal od leśnictwa położonej, atakował rogacz niewiastę — wprawdzie nieszkodliwie, ale był uparty i dopiero interwencya mężczyzn nakłoniła go do ucieczki.

Kastrowane rogacze złośliwości takiej nie okazują i nie są niebezpieczne.

Że sarny przyzwyczajają się do niezwykłych gwarów, huków, szelestów i t. p., najlepszy dowód w tem, iż przy szosach spokojnie żerują, na pociągi kolejowe wcale uwagi nie zwracają i t. p.

Ponieważ sarna chowa się dobrze w ścisłej niewoli, to tem samem chowa się i rozmnaża bardzo dobrze w zwierzyńcach, jeżeli tylko indywidualność jej jest uwzględnioną. Do ostatnich czasów trwało mniemanie, że w zwierzyńcu sarna stopniowo marnieje i wreszcie zupełnie zanika. Po-

Fig. 10. Skakanka, przekrój poprzeczny.

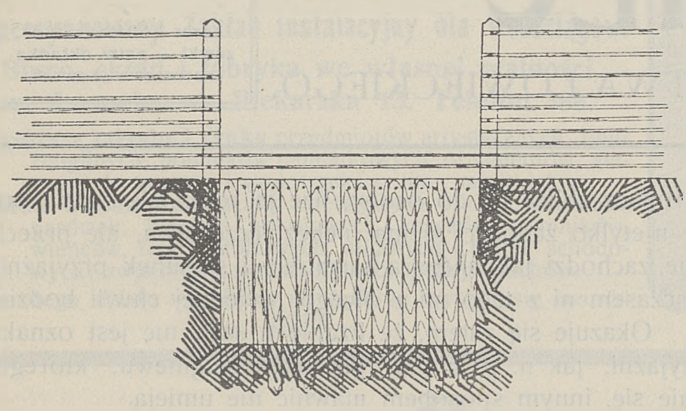


wodem tego niepomyślnego rozwoju wcale nie było ogrodzenie, tylko ta okoliczność, że zwyczajnie w jednym i tym samym zwierzyńcu była i inna zwierzyna, mianowicie daniele lub jelenie.

Sarna miłuje przedewszystkiem spokój i zwyczajnie wychodzi na żer tylko rano i wieczór, gdy tymczasem daniel żeruje w nieokreślonym czasie i wypiera z żerowisk więcej trwożliwą i słabszą sarnę. Jakkolwiek sposób życia jelenia jest więcej do sarny zbliżony, to dla tego samego, że jest to zwierz większy, potrzebuje więcej pożywienia, i w obszerniejszych nawet zwierzyńcach sarna obok jelenia pomyślnie rozwijać się nie może.

Zwierzyniec, wyłącznie dla sarn założony, w którym wzdłuż ogrodzenia w pewnych odstępach porobione będą skakanki, któremi sarny z zewnątrz, dla odświeżenia stanu, dostaćby się mogły, wyda spodziewane owoce.

Skakanka, przekrój podłużny.



Do urządzenia skakanek należy wyzyskać ile możności dla łatwiejszej roboty formę terenu. Zewnątrz ogrodzenia może być teren równy, wewnątrz jednak, w miejscu, gdzie skakanka ma być urządzona, kopie się równo z płotem prostopadłą ścianę tak głęboko, jak płot wysoki, około 4 łokci, a szeroko 5 do 6 łokci i urabia wewnątrz zwierzyńca równię pochyłą, która na odległość 5 do 6-iu kroków osiągnie wysokość terenu za płotem. Skakanka ułatwi zwierzynie wejście, ale równocześnie uniemożliwi wyjście. Aby prostopadła ściana nie obsuwała się, można ją usztywnić ścianą z drzewa i t. p. Gdy sarna podejdzie do płotu i zobaczy wewnątrz ogrodzenia inne, to ciągnie (postępuje) wzdłuż płotu i nadszedłszy do otworu w płocie, czyli do skakanki, zwyczajnie bez namysłu wskakuje.

Najskuteczniej tam urządzać skakanki, gdzie zwierzyna najczęściej przebywa, a względnie gdzie najwięcej bywało tropów i ścieżek.

Że w ogromnym zwierzyńcu o miłą dla sarn różnorodność paszy jeszcze więcej starać się należy, rozumie się samo przez się.

Gdy w pewnej miejscowości wcale sarn niema, a stosunki miejscowe odpowiadają hodowli, to przy zachowaniu poniżej wyłuszczonych punktów da się zwierzostan sarn z najlepszem powodzeniem sztucznie zaprowadzić.

Przedewszystkiem uwzględnić, potrzeba w wyborze miejsca pierwszy nieodzowny warunek: spokój. Zatem wybrać miejsce zaciszne, położone mniej więcej w środku lasu, a wystawione do południowego wschodu lub południowego zachodu.

Od ilości osadzić się mających sarn zależeć będzie wogóle przestrzeń, którą się musi ogrodzić szczelnym, a na $3^1/_2$ do 4 łokci wysokim płotem tak, aby się sarna nie mogła ani wymknąć, ani przeskoczyć. Prawdopodobnie w każdej miejscowości najodpowiedniej będzie ustawić płot z niekorowanych, poziomo do słupów przybijanych żerdzi. Pierwsze siedm co sześć cali od siebie odległe, następne dwie co 10 cali, a ostatnia górna na 12 cali, przybite gwoździami do słupów, stanowić będą dostateczną zaporę, z poza której sarna się nie wyśliźnie i nie przeskoczy. Szerokość przęseł, t. j. odległości od słupa do słupa, jako maksymalną, można przyjąć 7 łokci.

Ponieważ sarna lubi rozmaitość paszy, więc pożądanem byłoby, aby w ogrodzeniu znalazło się nieco pola, uprawionego różnemi zbożami i roślinami okopowemi, kawałek łączki, ewentualnie i źródełko, a reszta niechaj będzie gęstwinką. Na łączce obok źródełka ustawić lizawkę, opodal w miejscu słonecznem jarzmo do zadawania karmy.

Za przykład stawiam las o przestrzeni 2000 morgów, w którym wcale sarn niema, a pożądanem jest rozpowszechnienie tej zwierzyny i doprowadzenie do stanu dobrego w przeciągu lat dziesięciu.

W wypadku takim zaleciłbym sprowadzić w m. sierpniu lub lepiej we wrześniu, a zatem po rui, na pewno ukończonej, sześć kóz i dwa rogacze, o ile możności w nierównej sile i wieku.

Na ośm sztuk sarn wystarczy odgrodzić powierzchnię 15 morgów.

Sarny, które się do tak przygotowanego ogrodzenia ma wprowadzić, mogą być albo w domu wychowane, albo w innej miejscowości w sieci złapane i przewiezione.

Przy transporcie jednak unikać hałasu i wszelkich wstrząśnień, gdyż wraźliwa i nerwowa sarna bardzo dotkliwie odczuwa transport, a często nawet ginie. Więc najlepiej przewozić sarny w nocy, w miękko obitych pakach i na wozach, opatrzonych w resory. Na zewnątrz ogrodzenia dobrze będzie uprawić jeden lub półtora morga pod zasiew owsa, grochu, wyki i t. p., aby w razie rozgrodzenia znalazły sarny dogodne żerowiska.

Przez przeciąg zimy zadawać obficie różnorodną karmę i na wiosnę, kiedy już sarny mają młode, stopniowo od strony uprawionego pola ogrodzenie rozgradzać.

Uwzględniając wszelki możliwy ubytek, nie przesadzę, jeżeli przyjmę, że każda sarna każdego roku pomnoży

familię o jedną sztukę, a tak w ciągu lat przyrost przedstawi się jak wykazuje umieszczona poniżej tabelka:

W roku	Stare		Młode		Odstrzelono			Uwaga
	Kozy	Rogacze	Kozy	Rogacze	Młode rogacze vel widlaki	Szóstaki	Niepłodne kozy	
1897	6	2	—	—	—	—	—	
1898	6	2	3	3	—	—	—	
1899	9	5	3	3	—	—	—	
1900	12	6	4	5	1	1	—	
1901	16	9	6	6	1	1	—	
1902	22	12	8	8	2	1	—	
1903	30	16	11	11	2	2	—	
1904	41	21	15	15	3	3	—	Jeżeli sarna chodzi jałowa, to wówczas sysaki trzymają się przy niej do ponownego kocenia.
1905	54	29	19	20	4	3	2	
1906	71	38	26	26	7	4	2	
1907	95	49	34	35	10	5	2	

Odstrzelono razem 30 + 20 + 6=56 sztuk.

W roku zatem 1907, czyli za dziesięć lat, stan sarn składać się będzie:

z 69-iu starych kóz
z 26-iu młodych kóz } 129 sztuk
34-ch sysaków

z 13-tu rogaczy szóstaków
z 10-iu „ młod. (widłaków) } 84 sztuk
z 26-iu „ szpiczaków
z 35-iu „ sysaków

Będzie zatem 129 kóz i 84 rogaczy, a razem 213 sztuk, czyli w przecięciu jedna sztuka na każde 10 morgów lasu.

Jestto teoretyczne przedstawienie na papierze, które w naturze nie zawsze takie daje rezultaty; w każdym jednak razie daje wyobrażenie, że przy odpowiedniej hodowli, ochronie i prawidłowem wykonywaniu polowania, pomyślnego rozwoju i wynagrodzenia podjętych trudów spodziewać się można.

ROZDZIAŁ IV.

Polowanie.

Terminy polowania.— Polowanie na wychodnego.—Polowanie na wabia.—Polowania z podjazdu i na podchodnego.—Polowanie z naganką.—Przechowywanie ubitej zwierzyny.—Przygotowanie różków.

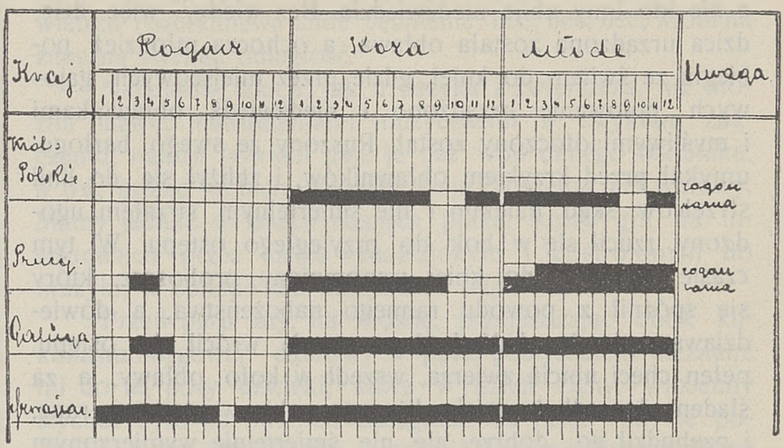
W poszczególnych państwach, a nawet krajach koronnych, istnieją różne pod względem terminu zastrzeżenia co do wolności ubijania sarn, zastosowane mniej więcej do warunków klimatycznych i miejscowych.

Wszędzie jednak wychodzi ustawodawstwo z jednej i tej samej zasady, aby ukróceniem wolności strzelania nietylko zapobiedz ewentualnej zagładzie, ale zwierzynę tę utrzymać i rozpowszechniać.

W ogólności wzbrania ustawa prawie wszędzie strzelania kóz lub kóz chodzących z młodemi, a także rogaczy od lutego do kwietnia, dlatego, że w tym czasie wycierają różki, zmieniają włos, a zatem są wycieńczone i najmniej użyteczne.

Poniżej podane tablice wykazują szczegółowo postanowienia, odnoszące się do czasu ochrony i strzelania sarn w kilku krajach.

Pole białe oznacza czas polowania.



Z powyższej tablicy widocznem jest, że naprzykład w Szwajcaryi, gdzie sarn jest bardzo mało, państwo największą ochronę zastrzega i dozwala strzelać tylko rogacze, i to wyłącznie w miesiącu wrześniu, a zatem po rui.

Prawo więc dozwala w różnych krajach różnie zwierzynę użytkować, myśliwska jednak zasada powinna być taka, aby na rogacza wtedy tylko polować, kiedy rogi oczyścił i włos zupełnie zmienił. Kto dla rogów poluje, doczeka jeszcze chwili, aby rogaczowi różki ściemniały i białe końce gładko wystąpiły. (C. d. n.)



„Łowiec Polski“

Łowiectwo w Polsce.

Podług szeregu artykułów, zamieszczonych w „Gospodarstwie łowieckiem“ Mikołaja Reumanna, urzędnika do szczególnych poruczeń przy komisji rządowej przychodów i skarbu (1845 r.), z uzupełnieniami według innych źródeł historycznych.

Łowiectwo do XIV. wieku.

W r. 1834, w końcu lutego, w czasie ponowy, wyśledził go gajowy w ostępie, i zawiadomił o tem dziedzica kniei, u którego się właśnie młodzież sąsiedzka znajdowała. Na wieść, że ów sławny niedźwiedź białoszyi jeszcze żyje i w pobliskiej znajduje się kniei, oświadczyło całe towarzystwo chęć zrobienia na niego w dniu następnym obławy; bo każdy pragnął spotkać się z misiem, którego przezorność zdawała się być większa od wszystkich podstępnych środków, użytych na niego przez najcelniejszych myśliwych. Hrabia, jako doświadczony myśliwy, przekładał zbyt zapalonej młodzieży niemożność podjęcia łowów zaraz w dniu następnym; raz, że w tak krótkim czasie trudno będzie zebrać dostateczną liczbę ludzi do obławy, powtóre, że chcąc się spotkać z tak groźnym nieprzyjacielem, bez narażenia się, trzeba się zaopatrzyć w broń myśliwską, używaną w czasie polowania na niedźwiedzia, bo bez tej ostrożności może się zabawa myśliwska zbyt tragicznie zakończyć. Na podobne uwagi Nestora myśliwych, mniej uważała rozochocona młodzież, a miano-

wicie ksiądz Jędrzej Czesław Rowiński, proboszcz Krzywoczyński, zdawał się być zachwycony ową myślą, że on, a nie kto inny ubije niedźwiedzia. Bez wiedzy więc dziedzica urządzona została obława, a ochocza młodzież pobiegła ze świtem do kniei, gdzie przez miejscowych gajowych polowanie urządzono i niedźwiedź obławnikami i myśliwymi otoczony został. Ruszony ze swego barłogu. umykał przed krzykiem obławników, i zbliżył się do linii strzelców, skąd dalekim i nie śmiertelnym strzałem ugodzony, rzucił się w bok do przyległego ostępu. W tym czasie nadszedł do kniei wspomniany proboszcz, który się spóźnił z powodu rannego nabożeństwa, a dowiedziawszy się, że niedźwiedź po strzale wrócił do ostępu, pełen chęci ubicia zwierza, wszedł w koło obławy, a za śladem doszedł do misia, liżącego sobie w gąszczu ranę, i pzebudził go, dobrze, ale nie śmiertelnie wymierzonym strzałem. Zwierz na nowo rozjuszony, rzucił się z prędkością błyskawicy na swego przeciwnika i zbyt śmiałego myśliwego, który poznawszy zapóźno, na co się naraził, i niemożliwość ucieczki, przyczaił się w krzaku, zasłaniając sobie twarz krzewami, podobnie jak trwożliwa kuropatwa, ścigana od wyżła, chowa głowę w zaroślach, sądząc wówczas, że jest bezpieczna. Ale niedźwiedź, porwawszy nieszczęśliwego łapami za głowę, wyciągnął go z zarośli, przewrócił i pazurami ściągnął mu skórę z głowy i twarzy, a następnie oczy i ciało z twarzy wyszarpał. Na krzyk i jęki nieszczęśliwego nadbiegli co bliżsi myśliwi, przed którymi wprawdzie okrutny zwierz uszedł do pobliskiej kniei, porzuciwszy swą ofiarę, nieszczęśliwy jednak proboszcz skonał trzeciego dnia w największych cierpieniach wskutek ran odniesionych.

Hrabia Tyzenhaus, widząc przepowiednię swoją tak nieszczęśliwie stwierdzoną, zajął się urządzeniem polowania, które trzeciego dnia z największem przygotowaniem odbyć się miało. Na ten cel wydobyto ze zbrojowni oszczepy i druciane czapki, i temi narzędziami myśliwi uzbrojeni, mieli uderzyć na niedźwiedzia. Ale niepohamowana chęć zyskania wawrzynów myśliwskich, oraz żal i chęć zemsty za poległego proboszcza, skusiły dwóch młodzieńców, ufających w swoje męstwo i celne strzelanie, że nazajutrz, nic nie mówiąc nikomu, ze świtem udali się do kniei, i tam śledzili niedźwiedzia, który będąc już ciężko raniony, spoczywał w bliskim ostępie. Dostrzegłszy, że skłopotany miś zajęty jest lizaniem ran, odniesionych w walce, ostrożnie zbliżali się do niego młodzieńcy; ale im bliżej do przedmiotu swej zemsty przystępowali, tem więcej nikła w naszych junakach odwaga; jeden drugiego do pierwszego namawiał strzału, przekładając, że jeżeli niedźwiedź z jego nie zginie broni, to niechybną śmierć zada mu nabój towarzysza. Tak zachęcając się nawzajem, wystąpił śmielszy na kilkanaście kroków naprzód i wystrzelił do leżącego zwierza. Ale, niestety, i ten strzał był chybiony. Z rykiem zrywa się niedźwiedź, z prędkością strzały rzuca się na nieprzyjaciela; towarzysz w tyle stojący umyka i zostawia przyjaciela własnemu losowi i okrucieństwu rozjuszonego zwierza.

Drugie to nieszczęście tem więcej zniewalało hrabiego do przyśpieszenia obławy, żeby raz podobnym wypadkom koniec położyć, i w tym celu udali się wszyscy myśliwi do kniei. Strzelcy, uzbrojeni strzelbami, drucianemi czapkami na głowie, oraz oszczepami, zajęli swe stanowiska, obława zaś w kije i widły opatrzona, zajàwszy drugie półkole, ruszyła misia z ostępu i pędziła go na linię strzelców, skąd przywitany nie śmiertelnym strzałem, zrywa się na tylne łapy, groźnie postępuje naprzód ku swemu nieprzyjacielowi, powiększając jego trwogę swem mruczeniem. Nieszczęście chciało, że się znowu z młodzieńcem spotkał, który wprawdzie dobrym był myśliwym, ale pierwszy raz z misiem miał do czynienia; śmiało oczekiwał swego przeciwnika, ale nie z tą przytomnością umysłu, jaka dobremu myśliwemu niezbędnie jest potrzebna. Jakkolwiek niedźwiedź na krótki był strzał przypuszczony, strzał jednak, który go dosiągł, nie był śmiertelny, bo nie był prowadzony śmiałem i niezachwianem okiem doświadczonego, krew zimną mającego myśliwego. Wówczas chwyta młodzieniec za oszczep, nadstawia go, ale drżąca ręka nie jest w stanie nakierować go wprost w serce srogiego zwierza, i z całą siłą uderzyć w pierś wroga. Niedźwiedź jednak, chociaż lekko pchnięty żelazem, lecz poprzedniemi ranami osłabiony, upada i przytłacza własnym ciężarem ciało swego przeciwnika.

Tak znaleźli pobliżsi strzelcy owego młodzieńca pod pieniącym się niedźwiedziem, którego zbyt już osłabionego na nim zabili, a następnie nieuszkodzonego towarzysza z pod niego wyciągnęli. Pierwszego młodzieńca, który się dniem wprzód z niedźwiedziem spotkał i tak haniebnie od przyjaciela był opuszczony, znaleziono rozszarpanego w bliskości ostępu; czyli i na ten raz sprawdziła się znana bajka Ezopa: „Viatores et ursus“, i jego przestroga: „ne amicum esse quemquam mihi persvaderem, cujus fidem in periculis et adversa fortuna non fuerim expertus“. Że polowanie na te zwierzęta wielkiej wymagało odwagi, zręczności i przytomności umysłu, dla tych przyczyn łowy na nie od dawnego czasu należały do prawdziwych rozrywek rycerskich, i zwykle urządzane były dla panującego i pierwszych osób w kraju. Każdy do podobnego orszaku myśliwych należący, musiał być uzbrojony w strzelbę i oszczep, a na niedźwiedzia jeszcze okrytą miał głowę drucianą czapką i zwyczaj ten do dziś dnia zachowany jest u myśliwych zaniemeńskich. Oszczep myśliwski zwykle był długi 12 do 14 stóp, i składał się z kija, w skórę obszytego, okutego w obosieczne spiczaste żelazo Przy końcu żelaza z obydwóch stron, były dwa, dość długie haki, które przeszkadzały, żeby żelazo do zbytniej głębokości w ciało nie wchodziło. Myśliwy tak uzbrojony, jeżeli niedźwiedzia lub dzika nie ugodził śmiertelnie, a raniony zwierz, rozjuszony i przez psy napastowany, ze wściekłością na niego nacierał, powinien był wówczas spokojnie oczekiwać swego nieprzyjaciela z nadstawionym oszczepem w postaci następującej: ażeby dzika lub niedźwiedzia pewniej ugodzić w samą pierś pomiędzy przednie łopatki, musiał myśliwy, podług sztuki łowieckiej, przyklękać na prawą nogę, jeżeli spotykał dzika, wyciągnąć ją cokolwiek w tył, całe zaś ciało naprzód nachylić, przyginając lewą nogę. Jeżeli niedźwiedzia miał ugodzić, wówczas nie przyklęknął, ale się tylko nachylił, wystawiwszy lewą nogę cokolwiek naprzód, żeby tem korzystniejszą przybrać postawę; prawą ręką przyciskał trzon oszczepu do ciała, lewą zaś kierował żelazo, żeby dzika lub niedźwiedzia tem pewniej ugodzić. Takie polowanie wymagało wielkiej odwagi i zręczności, sława też myśliwego tem większą była, im zręczniej ukończył podobną walkę. Czapka druciana zasłaniać miała głowę, gdyby w przypadku niezwalczenia niedźwiedzia, tenże rzucił się na myśliwego; w takiem nieszczęściu łapie niedźwiedź zwykle swą ofiarę za głowę i ściąga skórę z czaszki i z twarzy, czego mu jednak czapka druciana zrobić nie dozwalała. Niedźwiedzi i dzików dość było w lasach polskich i litewskich. Królowie nasi lubieli ten ro-

dzaj polowania, mianowicie Zygmunt I., jak świadczy Bielski w kronice swojej, sprowadził je z lasów litewskich i puszczał w lasy niepołomickie. Zwierz ten długo się utrzymywał w większych lasach królestwa, tak, że jeszcze w początkach XIX. wieku znajdował się, chociaż rzadko, w lasach Świętokrzyskich, oraz w lasach gubernii Augustowskiej; dziś zaś wszędzie jest wytępiony, i czasami tylko odwiedza nadniemeńskie lasy, jako przybysz z Cesarstwa.

Niemniej znane i upowszechnione było u nas polowanie na wabia, to jest, że myśliwy naśladował różne głosy tak ptaków, jak i zwierząt dzikich, i tem zwierzynę do siebie zwabiał, Sarny wabiono piszczeniem, jak dziś naśladują głos kozła na piszczałce lub listku włożonym i przyciśniętym między dwoma wielkimi palcami; i taki sposób polowania odbywał się przy końcu czerwca i na początku lipca, bo w tym tylko czasie idzie kozioł na wabia. Wilka wabiono kwiczeniem prosięcia, lub naśladując wyjącego wilka. Pierwsze polowanie może się skutecznie odbywać tylko zimową porą w czasie tęgich mrozów; drugie tam, gdzie wilki mają młode, i te jeszcze gniazda pilnują, to jest: w lipcu i sierpniu, bo w innej porze roku niechętnie idzie wilk na wabia.

(C. d. n.)



Dzięcioł jako muzyk.

Znany każdemu jest fakt, że zwierzęta czworonożne, ptaki i owady, w porze godowej wydają różne głosy w celu bądź zwabienia, bądź też przypodobania się samicy. Ptaki stoją tutaj na czele i one tylko z pośród żyjących stworzeń na ziemi, z wyjątkiem człowieka, obdarzone są głosem, mogącym tworzyć pieśń, która, prócz wabienia, ma jeszcze cel inny. Słowik śpiewa przy gnieździe swej samicy, by jej uprzyjemnić nudny czas, w którym siedzieć musi nieruchomo i wygrzewać jaja. Gdy samica słowika nie słyszy czas dłuższy śpiewu swego samca, opuszcza gniazdo zaniepokojona, szukając ukochanego. Jeżeli samiec zginie z jakich powodów, a śpiew jego nie rozbrzmiewa dniem i nocą w pobliżu gniazda, samica opuszcza je, choćby znoszenie jaj było ukończone i te były już zalęgłe. Że śpiew i muzyka powstały i u ludzi na tle erotycznem, dostatecznie jest to udowodnione w dziełach, traktujących o rozwoju sztuki. Prócz głosu, wydobywanego z krtani, niektóre ptaki i owady obdarzone są pewnemi narządami, które mogą wydawać głos przy odpowiedniem ich użyciu. Każdemu z myśliwych znany jest głos kszyka, który w porze wiosennej daje się słyszeć nad błotami; lub kto nie zna głosu świerszcza? Tak krzyk, jak też i świerszcz nie wydobywają go krtanią, lecz mają ku temu właściwe narządy.

Bystremu obserwatorowi natury, wielkiemu Darwinowi, udało się odkryć i udowodnić, że kszyk nie wydaje głosu krtanią, lecz że głos ten pochodzi z drgania sztywnych sterówek. Ptak wzbija się na znaczną wysokość, rozpościera sztywno skrzydła i opuszcza się z błyskawiczną szybkością na ziemię; pióra sztywne wibrują, w powietrzu rozbrzmiewa silne bębnienie: bee, bee, bee, które na znaczną słychać odległość.

Narządów takich, jak u kszyka i świerszcza, nie można nazwać instrumentami muzycznemi w zwykłem znaczeniu, natura bowiem daje je bez woli danego osobnika, a ów, grając na nich, nie potrzebuje ćwiczenia, ani wprawy. Mamy jednak w lasach naszych ptaka, który gra na instrumencie przez siebie wynalezionym i dostrojonym do muzyki, w sposób dla muzykanta odpowiedni.

Przed paru laty, na wiosnę, przejeżdżając obok kilkunastumorgowej dąbrowy w polu, posłyszałem nieznane mi do tej pory dźwięki, które w dzień cichy, wiosenny słychać było na kilometr odległości od lasu. Tony te podobne były do dźwięku „drumli“, znanej każdemu, na której w wieczory wiosenne brzdąkają kołomyjkę parobcy wiejscy. Drumla ta, jednak którą z lasu usłyszałem, musiała być bardzo potężnych rozmiarów, skoro tak mocne i daleko słyszalne mogła dawać tony.

Zaintrygowany tem, ktoby i na czem tak niezwykłe wykonywał koncerty, śledziłem sprawcę i odkryłem, że muzykantem tym jest dzięcioł pstry, większy. Początkowo sądziłem, że dźwięki te wydobywał dzięcioł bezwiednie, przy szukaniu ukrytych owadów w uschłym wierzchołku dęba; śledząc go jednak czas dłuższy i obserwując niejednokrotnie zachowanie się ptaka, przyszedłem do stanowczego przekonania, iż dzięcioł wyłącznie tylko w celach muzycznych posługuje się wyszukanym przez siebie instrumentem i że z pewnem zamiłowaniem i lubością oddaje się wynalezionej przez siebie na cześć miłości grze na tym instrumencie. Muzyka ta, którą przez parę następujących po sobie wiosen obserwowałem, powtarzała się tylko o wczesnych godzinach w cichy i słoneczny wiosenny poranek. Dzięcioł przylatywał na dąb, którego cienka, wierzchołkowa gałąź uschła i sterczała jak pręt stalowy nad lasem. Siadłszy na gałęzi w sposób dzięciołom właściwy, uderzał silnie dziobem, słuchając czas jakiś, czy ton wydobyty jest dla jego ucha odpowiedni. Jeżeli takim nie był, dzięcioł szukał, próbując uderzeniami dzioba, odpowiedniego miejsca, a gdy takie znalazł, zaczynał koncert. Silnemi uderzeniami dzioba, szybko po sobie następującemi, wprawiał suchą, sprężystą jak ze stali gałąź w wibracyę, a gdy rozlegało się dźwięczne brzmienie, ptak zaprzestawał uderzeń, dotykał z lekka końcem dzióba powierzchni gałęzi, co sprawiało pewną modulacyę w głosie i pewien rytm właściwy. Tak uderzenia, jak i modulacye powtarzały się w pewnym takcie, tworząc w ten sposób rodzaj muzyki. Ponieważ w lesie tym nie brakło podobnych instrumentów, a muzykantów ochoczych było wielu, przeto koncert słychać było głośnem echem, które budziło w zasłuchanych samiczkach uczucia, nakazujące coraz prędzej zbliżyć się do grających, aby ci mogli otrzymać w nagrodę za swą muzykę to, czego tak bardzo pragnęli. Taki był zwykły koniec tych koncertów, które niejednokrotnie obserwowałem.

Dziwnem mi się samemu wydało, dlaczego przez przeciąg wielu lat nie słyszałem przedtem koncertów dzięciolich, — czyby one uszły mej obserwacji? Tego jednak przypuścić nie mogę. Również nie zdarzyło mi się czytać o tem w dziełach przyrodniczych; Darwin nie byłby ominął tego faktu w swej teorji doboru płciowego. Przypuszczać muszę, że tylko w okolicach takich, jak tutejsza, gdzie wskutek suchego nadzwyczajnie położenia wiele dębów posiada uschłe wierzchołki, mogła się obudzić w dzię-

ciołach zdolność do muzyki. Bo na czem by grali muzykanci, gdyby nie znaleźli odpowiednich instrumentów? Fakt ten jednak bądź co bądź jest bardzo ciekawy i polecam go miłośnikom przyrody do bacznej obserwacji.

Łuka nad Dniestrem.

Leon Starkiewicz.

Niezwykłe polowanie.

W piękny, mroźny dzień grudniowy, wybraliśmy się saniami z kolegą po strzelbie, p. dr. M. i w towarzystwie naszych żon na Bukowinę, do wsi Jużyniec, odległej o 14 km. od Zaleszczyk. Jest tam gęsto zarośnięty i duży, 180 morgowy staw, na którym i nad którym w jesieni prawie co tydzień polujemy na kszyki, dubelty, kaczki, zające i t. d. i z którym łączą się najmilsze wspomnienia naszych tryumfów. Obfitość kaczek bywa tam niekiedy nadzwyczajna; miewałem sezony, w których ponad 100 sztuk zastrzeliłem, a dodać muszę, że nietylko ilość, ale i różnorodność ich, zwłaszcza późną jesienią i gdy staw spuszczony, jest bardzo wielka. Dotychczas naliczyłem 10 gatunków kaczek, wśród których wyróżnia się szczególniej przepiękna kaczka rożeniec (Jarocki, Waga) albo kaczka strzałogon (Kluk), *anas acuta L.* Otóż tam wyjechaliśmy, ale nie na kaczki, bo staw już od kilku tygodni pokrył się lodem, ale raczej dla przyjemności i dla odetchnienia świeżem powietrzem. Być może, że liczyliśmy i na to, iż idąc ławą we czwórkę, wydepcemy z sitowia szaraka lub przypadkowo i z lisem się spotkamy. Wziąłem także od wypadku swego setera „Lorda“, który mi już niejednego kaczora wyniósł z trzciny. W pobliżu stawu zleźliśmy z sań i puściliśmy się w drogę, zmierzając do małej rzeczułki, dopływu stawu, który nigdy nie zamarza. Stanąwszy nad nim, wypłoszyliśmy dwie cyranki; strzeliłem i jedna została.

Przesadziliśmy rów i szliśmy dalej po trawach i błocie, zupełnie zamarzniętem. Wkrótce wyrwał się zając, ale zadaleko, spłoszony snać głośną rozmową i śmiechem i uszedł bez szwanku. Doszliśmy wreszcie do stawu. Smutne on robił wrażenie: trzcina przeważnie wykoszona lub pogięta, schylała z jakąś uporczywą rezygnacją swe pożółkłe czuby — gwarzyła z lodem. Mimo blasków słońca była przykrą ta martwa cisza nad stawem. Odczuliśmy to wszyscy i milczeliśmy. Tu i ówdzie wieśniak samotny wycinał szuwary, kładł pokosy lub wiązał snopy. Towarzysz mój i panie szły we trójkę brzegiem, ja zaś z Lordem kroczyłem trzciną wzdłuż przytoki, która zaraz blisko łączyła się ze stawem, w nadziei, że przecież coś „wyskoczy“. Pies wybiegł naprzód i począł węszyć. Nie zwracałem zbyt wielkiej uwagi na to i przeszedłem obok niego; po chwili, gdy uszedłem z jakich 100 kroków, począł głośno szczekać, ale jakoś niezwykle — głosem urywanym. Oglądnąłem się i spostrzegłem, że pobiegł kilka kroków za mną i gdy zauważył, że na niego patrzę, wrócił na dawne miejsce i znów szczekać począł. Wróciłem do niego, ani nie przypuszczając, co być może... Na wązkiej przestrzeni leżała trzcina na zżętych łodygach w pokosach, tworząc rodzaj dachu. Pies począł podnosić nosem trzcinę, węszyć głośno i naszczekiwać do środka. Nadsłuchując, zauważyłem natychmiast jakieś szmery, chodzenie i chrzęst uginanych ździebeł; — ile razy pies zaszczekał, tyle razy powtarzało się to. Początkowo sądziłem, że to może lis lub kaczor, zbarczony dawniej — siadł pod trzciną i postanowiłem rzecz dokładniej zbadać. Przywołałem stojącego w pobliżu wieśniaka i poleciłem mu deptać wraz ze mną po pokosach. Pies wskazywał drogę. Ledwie uszliśmy kilka kroków, gdy naraz na jakie 40 kroków z boku na lewo zamajaczyło czarne, długie stworzenie, które w galopie, przypominającym dziwnie ruchy węża, poczęło uciekać ku rzeczce. Ledwie miałem czas złożyć się. Strzeliłem. Zwierz zrulował i zakłębiło się w śniegu i w trawie. Pies był już przy tem stworzeniu, chciał je uchwycić, lecz odskoczył nagle i już tylko z boku atakował. Przybiegam, patrzę i ledwie oczom wierzę... Przedemną leżała, drgając w przedśmiertnych skurczach, wspaniała wydra *lutra vulgaris*, najgroźniejszy wróg ryb i ptactwa wodnego, prawdziwy tygrys naszych wód. Była to duża samica, mająca do 10 kg. wagi i mierząca z ogonem 1 m. 30 cm. Strzeliłem z lewki śrutem nr. 6; strzał pokrył lewą komorę i dlatego zwierzę, znane ze swej żywotności, prawie w ogniu zostało; trafiona słabiej, byłaby uszła do rzeczki i przepadła bez śladu.

Jakąż radość mieliśmy wszyscy! Ile było oglądania... Panie niosły początkowo łup same, taką im to przyjemność sprawiało.

Że w stawie mogły być wydry, przypuszczałem choćby dlatego, że siedząc nieraz wieczorem na ciągu, obserwowałem podejrzane ruchy wody i mnóstwo baniek powietrznych w tych miejscach, gdzie woda falowała, ale nie byłem pewny, coby tam było; myślałem, że to raczej ryba płynęła. A więc i w stawach o namulistem dnie i nizkich brzegach mogą być wydry. Jednak w opisanym wypadku dziwić musi każdego to, że wydra tak daleko od pełnego plesa odeszła i że, słysząc niewątpliwie głosy nasze, nie wyniosła się zawczasu ukradkiem. W łatwy sposób przyszedłem do takiego strzału! Lordowi go jednak zawdzięczam.

Władysław Gürtler.



CAMILLO MORGAN

Wspomnienia myśliwego z Hiszpanji.

(Ciąg dalszy).

Między Sierra de Gredos, a przebiegającemi z północnego wschodu na południowy zachód Sierra de Plasentia, tworzy połączenie przełęcz Tornavacas, przez którą wiedzie nie częsta na takich wysokościach krawędziowa ścieżyna z doliny Jerte w dolinę Tormes. Za Sierra de Plasentia sterczą dumnie ku niebu wysokie na 1.700 m. Sierra de Francia i wyższe od nich jeszcze Sierra de Gata. Z dotychczasowego opisu wynika więc, że na tym stosunkowo niewielkim obszarze rozciągają się łańcuchy górskie, jeden przy drugim, wszystkie jednako dzikie i postrzępione; do Sierra de Gata przytyka jeszcze łańcuch Sierra de Jalama, które znajdują przedłużenie w należącyeh już do Portugalji górach Gordunha.

Trzy dni trwał nasz uciążliwy marsz przez te rozległe pustkowia górskie. — Nocowaliśmy pod gołem niebem w naszych namiotach; droga nasza szła przez strome, bezdrożne grzbiety, gdzie jeden fałszywy krok mógł z całą pewnością spowodować upadek w ziejące zewsząd przepaście. Natrafiliśmy tu na jedną niezwykle interesującą osobliwość: oto wielokrotnie napotykaliśmy w naszej drodze na ogromne złomy granitowe, które ręce ludzkie wyrzeźbiły w najrozmaitsze postacie zwierzęce. Don Estaban pouczył nas, że są to jeszcze pomniki odległej, zamierzchłej przeszłości, których wiek liczyć można na tysiąclecia. Najsłynniejszymi z pośród nich są t. zw. „byki z Guisando“, znajdujące się w pobliżu miasteczka Guisando; archeologowie całego świata obejrzeli je już, odfotografowali i odtworzyli na różne sposoby, opisując obszernie ich historję.

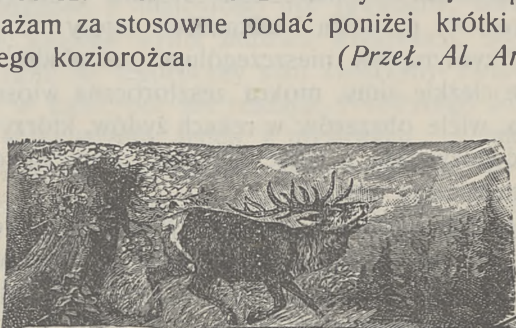
Jako punkt końcowy w Sierra de Gredos oznaczyliśmy sobie małe jeziorko Barco. Tu postanowiliśmy założyć naszą główną kwaterę na czas całej kampanji myśliwskiej w tych stronach; tu miały się ogniskować nasze podchody, zasiadki i polowania. W okół jeziorka rozrzucone są małe, nizkie chatki, zamieszkałe przez pasterzy i drwali, tworzące razem nikłą wioskę górską, od jeziora nazwę Barco noszącą. Nad nizkie dachy wystrzela skromna, drewniana kapliczka, która rankiem, w południe i wieczór nawołuje mieszkańców tej odległej od świata wioseczki górskiej do modlitwy czystym, dziecięcym niemal głosikiem swego dzwonka. Niemniej jednak nie posiadała nigdy ta osada swego własnego pasterza, w pewnych dniach tylko przychodzi do Barco z nizin, z kościoła odpustowego w miejscowości Francia, kapłan, by odprawić Mszę św. i wysłuchać spowiedzi tych prostych ludzi. Gdy w czas inny właśnie zemrze który z pustelniczych mieszkańców Barco, to przechodzi we wieczność bez zwykłych obrządków i ostatnich pocieszeń, jakie mu przysługują z prawa jego wyznania. Jeżeli natomiast ujrzy światło dzienne nowy obywatel tego górskiego gniazda, to chrzci go przedewszystkiem naczelnik gminy.

W chacie tego ostatniego zamieszkaliśmy właśnie; zna on każdy zakątek tutaj i z serdeczną koleżeńskością myśliwską udzielił najdokładniejszych informacyj o zwierzynie gór Gredos, jakoteż jej ulubionych ścieżkach. Wiadomości te dodały nam naturalnie humoru. Szczególnie okolica jeziora w promieniu 5—6 kilometrów od niego, miała zawierać do 120 sztuk koziorożców, wśród nich zaś najmniej 40 kozłów. Liczbę ogólną mieszkańców i dzikich mieszkanek dalszej okolicy górskiej jeziora obliczał nasz informator najmniej na 300 sztuk. I obliczenie to było trafne; mieliśmy następnie niejednokrotnie sposobność przekonania się o tem. Mniej zachęcająco wypadły udzielone nam informacje co do hiszpańskiego rysia; nie widziano go tu już od dłuższego czasu. Natomiast znał nasz gospodarz nieco dalej, w dolinie Tormes za Salamancą, pewne miejsce w wielkim lesie, gdzie zadomowiła się para starych rysiów, spędzających swe podeszłe lata na wygodnych polowaniach na liczne tu króliki. Napełniła więc nas radośna otucha, że zapolujemy z dobrym wynikiem zarówno na koziorożce, jak i na rysie. Nadzieja ta nie zawiodła nas następnie rzeczywiście.

Po nieudałej z powodu niekorzystnego wiatru wyprawie na koziorożce, wybraliśmy się pewnego ranka w południowo — wschodnim kierunku od Barco ku zwałowi górskiemu „Almanzor“. Na jego północnych stokach postanowiliśmy urządzić polowanie z nagonką, i dlatego zabraliśmy ze sobą 20 pasterzy i drwali; pierwsi, narażeni często na napady niedźwiedzi, wilków, rysi i orłów na ich trzody, zaopatrzyli się w swoje stare karabinki, co im jest nawet przez władze dozwolone. To posiadanie broni zrobiło z nich jednak *nolens volens* — kłusowników, i tem się da wytłumaczyć, że stan zwierzyny spadał w górach z każdym rokiem. W gruncie rzeczy wszakże było wówczas polowanie w całej Hiszpanii zupełnie wolne, bo ustawa łowiecka, ułożona przez rząd według francuskich wzorów, była już wprawdzie uchwalona przez parlament, ale król jej jeszcze nie sankcyonował. Tem też należy wytłumaczyć fakt, że już w lipcu polowaliśmy na górską zwierzynę, podczas gdy winniśmy to byli czynić najwcześniej w sierpniu. W czasie naszych polowań bowiem wodziły kozy za sobą 10-ciotygodniowe dopiero koźlęta. Ja i baron nie mogliśmy na te ostatnie — w naszych niemieckich pojęciach myśliwskich — zwrócić broni. Nie mieli wszakże tych skrupułów ani towarzyszący nam pasterze, ani, *horribile dictu*, sam emeryt. pan leśniczy królewski; z szczególną satysfakcyą strzelali oni do koziej młodzieży, ciesząc się na jej delikatne mięso, uważane za najprzedniejszą dziczyznę. Smakosze płacą też za nie wysokie ceny.

W kotle górskim, na wysokości mniejwięcej 2000, metrów, zatrzymaliśmy się, a Don Esteban wyznaczył nam stanowiska. On sam poprowadził jeszcze dalej nagonkę, aby obsadzić niektóre przejścia, któremi zwierzyna mogłaby była jeszcze ujść. Zostały tylko dwie szyje górskie, wiodące wprost do naszego kotła. Na tych przygotowaniach upłynęła jeszcze dobra godzina, po tym dopiero czasie wśród ogłuszającego hałasu, ruszyła nagonka. Naganiacze rzucali nadto na strome ściany skalne kamienie, które, tocząc się, porywały jak lawina gruz skalny za sobą. Chwilami turkot ten zagłuszał nawet wrzaski nagonki Baron i ja trzymaliśmy nasze sztućce Vetterlego w pogotowiu; w tej chwili niemal wybiegło z jednego z wąwozów stadko koziorożców, a prowadzące je dwa kozły zrulowały pod naszymi strzałami. Gdy drgały jeszcze w śmiertelnych konwulsyach, posłyszeliśmy znów tentent. To trzy koźlęta, nie zdążywszy w biegu razem z matkami, sadziły teraz za niemi w rączych podskokach. Najmłodsze i najsłabsze snać, nawoływało matki żałosnem beczeniem. Teraz pojawił się znów na widoku stary kozioł o wspaniałych rogach, który nietylko nie uciekał, ale nawet nas ujrzawszy, zaczął się, tylko przyglądać, to mnie, to baronowi. Uprzedziłem w tym wypadku mego kochanego przyjaciela i posłałem kozłowi w samą komorę pocisk z mego Vetterlego, lecz w tej chwili i baron położył celnym strzałem tęgiego kozła. Równocześnie z naszymi strzałami usłyszeliśmy z drugiej strony kotła 12. strzałów. Wkrótce ujrzeliśmy nad jednym z grzebieni górskich głowy nagonki, a po chwili zeszliśmy się z Don Estebanem; był on z wyniku polowania ogromnie zadowolony. Sam ubił wspaniałego kozła i 3 koźlęta. Naganiacze zastrzelili kozę i 2. koźlęta, tak, że na rozkładzie mieliśmy 11 sztuk. Na 10 strzałów było więc 5 pudeł.

Uważam za stosowne podać poniżej krótki opis hiszpańskiego koziorożca. *(Przeł. Al. Ant. W.)*



Korespondencje.

Burakówka, p. Koszytowce, pow. Zaleszczyki.

Dnia 29. stycznia r. b. odbyło się przy pięknej pogodzie polowanie w 6 strzelb w dwóch oddzielnych rewirach lasu burakowieckiego.

W rewirze Sałowa, graniczącym z lasami czerwonogrodzkimi, wzięto tylko dwa dzicze mioty. W rewirze Czahor, położonym wśród pól o powierzchni 450 morgowej, wzięto cztery mioty z podwójną nagonką. Flanki założono łapami, które na sarny i zające stepowe nie okazały się dość praktyczne, albowiem zwierzyna prócz lisa i dzika poza obręb lap i napowrót swobodnie przechodziła. Na rozkładzie znalazło się 27 kozłów, 1 dzik, 130 zajęcy i 5 bażantów.

Dzików w tym roku w Latowej nie dopisały, gdyż przetrzebili je porządnie w lasach czerwonogrodzkich, ze względu na przyszłą nową ustawę łowiecką, strażnicy lasowi przy pomocy psów.

Hodowlę na dziko bażantów angielskich (Englische Ring-Fasanen) wprowadziłem od roku w Czahorze, sprowadzając od roku 18 kur i cztery koguty. Hodowla, jak na początek, pomimo, że w Czahorze wody naturalnej niema i muszę ją dawać w korytkach, pomyślnie się rozwija. Przyczyna podniesienia zwierzostanu w lasach burakowieckich, a szczególnie stan zajęcy, który śmiało może rywalizować z zagranicą, leży w nadzwyczaj energicznej ochronie i dzierżawieniu 5 gminnych polnych polowań, na których z zasady prócz ptactwa i drapieżców niczego się nie strzela. Karma doborowa dla zwierzyny, podawana w dostatecznej ilości, jak też i gorliwe ściganie kłusowników przez personal lasowy i łowiecki za bonifikacyą 10 kor. za każdego przyłapanego na uczynku kłusownika, są powodem, że w Czahorze na jednem stanowisku amator zajęczy może z luf wygarnąć 50—100 razy. Naturalnie nie zawsze z pomyślnym skutkiem, gdyż zające czahorskie, jako stepowe, dość krótko zbudowane, na wysokich skokach, nie zważając na żadne zasady grzeczności, ani też życzeniu Panów myśliwych, dość szybko mijają linję strzelców i brauningów.

Władysław Dobrzański,
nadleśniczy dóbr burakowieckich.

Przybyłów, w marcu 1910.

Nie wiele polowań, a zwłaszcza większych, odbyło się w tutejszym powiecie. Polowano przeważnie w kilka strzelb, gdyż większość właścicieli polowań wobec lichego stanu zwierzyny nie chciała przyczyniać się do skwaszania humorów liczniejszej drużyny myśliwych.

O ile mi wiadomo z opowiadań i osobistego udziału, na polowaniach w kilka strzelb ubijano przeciętnie w tutejszej okolicy po kilka i kilkanaście zajęcy i zwykle kilka lisów. Przyczyną tak nieszczególnych rezultatów są: poprzednie ciężkie zimy, mokra zeszłoroczna wiosna, kłusownictwo, wiele obszarów w rękach żydów, którzy każdemu polować pozwalają, a także obfitość drapieżników, mało gdzie energicznie tępionych.

Z dwóch większych polowań, w których brałem udział, rezultat był następujący; 15 stycznia w Hostowie w 10 strzelb, na 152 oddanych strzałów padło: 39 zajęcy, 1 lis i 1 żbik (samica), bardzo ładny okaz, ubity przez p. Władysława Garapicha. Pierwszy miot na tem polowaniu, t. zw. „Huków“ sprawił się przysłowiowo, gdyż huku było dosyć, bo padło w nim 46 strzałów, z rezultatem nie tak wszakże hucznym; wyniesiono 7 zajęcy.

29. stycznia w Krzywotukłach w 8 strzelb padło: 10 rogaczy, 20 zajęcy, 2 lisy i 2 jastrzębie. Jest to może jedyna knieja w tutejszej okolicy z taką obfitością sarn, których w każdym miocie po kilkanaście sztuk widziano. Szkoda tych padłych capów; — o ile milej byłoby je strzelić w maju na podchodnego lub na podjazd, do czego przytem zachęca i teren równy i las gęsto linjami pocięty.

Nie mogę pominąć milczeniem t. zw. próbnego, domowego polowania w 3 strzelby w Tyśmieniczanach 24. stycznia. Widziano około 60 zajęcy, a wobec starań, jakie obecny właściciel czyni celem podniesienia zwierzostanu i korzystnego dla zwierzyny terenu, jest nadzieja, że w niedługim czasie nietylko sam gospodarz, ale i ci, o których łaskawie pamiętać raczy, pokosztują owoców Jego w tym kierunku pracy. *W. B.*

Zdarzenie z dzikiem. Dnia 18. lutego b. r. u pana Józefa Łasińskiego w Przyborowiu, w powiecie brzeskim, leśniczy Józef Menceł otropił w lesie dzika; zebrał więc na prędce kilku chłopaków na nagonkę i rozstawiwszy ich, stanął z leśnym na stanowisku. Ogromny dzik wyszedł na leśniczego, który dał do niego dwa strzały na bardzo bliską odległość, pomimo tego jednak dzik poszedł. Ponieważ na tropie zauważyli łowcy silną farbę, postanowili brać na niego więcej miotów, aby go dobić. W następnem pędzeniu leśniczy stanął tyłem do rowu, który z kniei wychodził. W tem, gdy nagonka ruszyła, dzik cichutko, jak kot, podszedł rowem do leśniczego i niespodziewanie wyskoczywszy, rzucił się na niego, chwytając za lewą rękę, tak, że leśny nie mógł do niego w zwykłych warunkach strzelać, tylko z samej prawej ręki i dlatego z obydwóch luf chybił. Dzik powalił go potem na ziemię i jeszcze rozwścieczony jakąś chwilę go szarpał, poczem dopiero skoczył w las. Ręka była pogryziona do tego stopnia, że doktor musiał ją zeszywać. Na drugi dzień znaleziono tego odyńca już nieżywego; miał w sobie cały nabój lotek i kulę. Ważył 150 kilo, a jego kły, które oglądałem, miały 20 centymetrów długości. W tem zdarzeniu jest to dziwnem, że dzik zaatakował z tyłu spokojnie stojącego człowieka, który mu wcale drogi nie zastępował i że nie siekał kłami, tylko gryzł, co robią tylko samury, gdy rzucają się na ludzi. Dobrze staropolskie przysłowie mówi: „Na niedźwiedzia gotuj łoże, a dzika mary“; w kilka dni później padł w tym samym lesie jeszcze jeden dzik, ale znacznie mniejszy. Były to dziki przechodnie, gdyż w Przyborowiu stałych niema.

Józef Ożegalski.
delegat

Kołomyja, 16. marca 1910.

Do lisiej kroniczki. Ciekawe zdarzenie przytrafiło się na polowaniu w Kamionkach dnia 26. stycznia p. dr. Haczewskiemu. Pod wieczór, w ostatnim już miocie, stał p. H. na skrzydle od strony pola. Pod koniec miotu, po licznych strzałach na całej linji, przesunął się w gąszczu z nadzwyczajną szybkością jakiś smok długi a niski, który jednak wśród chwilowego kniaziania zajęczego znikł natychmiast, i tylko zakotłowało coś niewyraźnego w śniegu. Po chwili wychodzi z gąszczu wolnym krokiem, oblizując się ze smakiem, tęgi lis, prawdziwy „artysta leśny“ i pada na polu pod celnym strzałem.

Nadszedł na to pobereźnik, idący skrzydłem.

„Jakże to? — zajać kryczaw, a Pan łysa ubyły?“

Idziemy na tropy do krzaków. Jakieś niewyraźne ślady, a raczej rowek w śniegu, więcej nic! Od rowka prowadzi na pole trop lisa, który padł właśnie. Badamy jeszcze raz, nic niema!

„I hij! a se szczo za bida!“

Odchodząc już, obraca się p. Haczewski jeszcze raz i widzi z rowka sterczący mały listek dziwnego kształtu; wraca więc i chwyciwszy za ten listek, a raczej za słuch wyciąga ogromnego, w śniegu zupełnie zakopanego i zaparpanego zająca, którego bezczelny lisiura wśród huku licznych i bliskich strzałów nie bał się złapać, udusić i jako przyszły podwieczorek zagrzebać, co mu się jednak wobec zbliżającej się pogonki niezupełnie udało. Znaleziony zając był w tym miocie postrzelony.

Józef Łysakowski.

Bołszowce, 12. marca 1910.

Trzy dni (25, 26 i 27. stycznia) trwające polowanie w lasach stoł, dóbr arcybiskupich zapisały się mile w pamięci uczestników.

Sprzyjająca pogoda, prześliczne położenie przepolowanych rewirów, wzorowe prowadzenie polowań przez p. Zawadzkiego, wreszcie nader gościnne, a wyszukaną uprzejmością nacechowane wystąpienie gospodarzy polowań pp. Turkułła, Janki i Pyrzanowskiego, — oto wszystko, co złożyło się na miłe wspomnienie, jakie biorący udział w tychże polowaniach wynieśli z tych pięknych dni.

Pierwszego dnia polowano w Dytiatynie (w 10 strzelb), drugiego w Zagórzu i Chochoniowie (w 15 strzelb), trzeciego wreszcie w Konkolnikach i Słobodzie (w 10 strzelb).

Na rozkładzie 1-go dnia było tylko 10 zajęcy; lisy — jak zwyczajnie, korzystając z długich miotów — wymknęły się. Drugiego dnia rezultat był lepszy, bo padło 30 zajęcy, 3 rogacze i 4 lisy. Trzeciego wreszcie dnia padło równo 40 zajęcy.

Niezmierna — a z każdym rokiem wzmagająca się ilość kłusowników w okolicy tutejszej, a w ślad za tem i brak zwierzyny mimo bardzo korzystnych warunków, wywołał zupełnie słuszny odruch u tutejszych amatorów myśliwych. Odruch ten objawił się we formie inicjatywy zorganizowania się w Towarzystwo. Dnia 19. lutego br. odbyło się tu zebranie amatorów-myśliwych; przybyło dwanaście osób, a dwie usprawiedliwiły swą nieobecność. W zebraniu wzięli udział nietylko miejscowi, ale i zamiejscowi myśliwi, nawet i z halickiego powiatu.

Uchwalono w zasadzie konieczność zawiązania Towarzystwa, a następnie wśród gorącej dyskusyi jego statut i regulamin.

Mamy też niepłonną nadzieję, że należący do prywatnie zawiązanego Towarzystwa w Haliczu myśliwi zechcą uznać nasze dobre chęci i zamiary i złączyć się z nami, by opanowawszy wspólnemi siłami tereny polowań, wystąpić skutecznie przeciw kłusownictwu, a szanując zwierzynę, stan jej podnieść. Statut został tymi dniami przedłożony Namiestnictwu do zatwierdzenia.

Młodemu temu Towarzystwu należy życzyć powodzenia w zbożnych tegoż zamiarach, a wierzą w nie inicjatorzy, licząc z jednej strony na solidarność myśliwską, z drugiej na poparcie ze strony władz miarodajnych, wreszcie — ze strony Macierzy wszelkich lokalnych Towarzystw myśliwskich, tj. Gal. Towarzystwa Łowieckiego. *F. O.*

Janów k. Lwowa, 18. marca 1910.

Przesyłam wykaz ubitej w r. 1909 zwierzyny w dobrach Janów na przygodnie odbytych tu polowaniach: dzików padło 11, kozłów 11, zajęcy 107, kuropatw 6, przepiórek 14, kaczek 25. Personal lasowy zniszczył lisów 25, psów 82, kotów 20, jastrzębi 51.

Na dziki, zwierzynę przechodnią, tylko w tych okolicach, poluje się wyłącznie z psami, — zwykle też prawie żaden żyw nie uchodzi. W bieżącym roku padło tylko 3 dziki, ale też mało ich wogóle było, zatrzymywały się bowiem w obcych rewirach, gzie je zawsze żywią.

Rezultat z okolicznych polowań nieznany, choć poluje się wiele. Pan z Jamelny poluje tylko w nocy, tj. gdy kiepscy myśliwi śpią, a zatem i o niczem nie wiedzą. Co i w których miesiącach ubito w Żarniskach i Łozinie, w tym niestety niedoszłym raju zwierzyny, zapoda zapewne sam właściciel. W Dąbrowicy, jak wieści chodzą, polują tylko sami właściciele. W Lelechówce nie polują wcale, bo też i zwierzyny tam mało. Dobrostany słynne są zdawna z kłusownictwa, to też i pustki mają w lasach. W Zielonce odbyło się polowanie 30. grudnia 1909 w 12 strzelb z rezultatem padłych 17 zajęcy i 1 lisa. Stan zajęcy bardzo ładny.

W tym roku zaszanowało się wogóle dużo zajęcy, gdyż z braku śniegu trzymały się i w lesie i w polu; mały śnieg nie sprzyjał także i kłusownikom. Wiosna dotąd dla legu nadzwyczaj sprzyjająca i młode szaraki już dość często się spotyka.

Stan sarn ładny; rozmnożyłyby się bardzo szybko po klęsce w r. 1906 i 1907, gdyby nie przypadkowe a masowe wystrzeliwanie rodzaju żeńskiego, popełniane na polowaniach. Daj że więc św. Hubercie, by na wielkanocnym stole nie koza, lecz prawdziwy baranek wsród święconego się znalazł.

W. C. P.
Delegat.

Dubowce, w marcu 1910.

Dnia 11. stycznia br. odbyło się polowanie w Dubowcach, majątku p. Breitmanna, w powiecie zbarazkim. Przy względnie pomyślnej aurze ubito w 16 strzelb 72 zajęcy, 1 lisa i 1 rogacza. Polowanie to dzierżawią myśliwi zbarazcy i tarnopolscy, gdyż właściciel nie myśliwy; dzierżawcy gospodarzą tam, jak rezultat wykazał, bardzo dobrze! Polowanie prowadzone było wzorowo, za co gospodarzom polowania, a szczególnie prowadzącemu polowanie p. sekretarzowi Chłędowskiemu, szle na tej drodze drużyna myśliwska serdeczne „Bóg zapłać“. Na uznanie zasługuje tutaj fakt, że p. Breitmann wydzierżawił to polowanie zawodowym myśliwym, a nie oddał go, jak większa część jego współwierców, na łup ludzi, nie mających z prawdziwem myśliwstwem nic wspólnego, a polujących tylko na jatki.

* * *

W dniach 20 i 21. stycznia odbyło się w Korolówce pow. Borszczów, w majętności pp. Jawetzów, dwudniowe polowanie, którego wynik zadziwił wszystkich, słyszących tyle utyskiwań na tegoroczny stan zwierzyny. Polowaliśmy wyłącznie w kniei, pól nie ruszając. Pierwszego dnia w 18, drugiego w 22 strzelb. Jeden z myśliwych — tak wieści niosą — strzelał na jednem stanowisku do 20 zajęcy, a ubił dwa. Ostateczny wszakże rezultat był: 216 zajęcy, 2 lisy i 2 rogacze. Sarn widzieliśmy dużo, ale płoszone wrzaskiem jakby ze skóry obdzieranej nagonki, wynosiły się do dziesiątego miotu. Polowanie w Korolówce odbywa się raz do roku; na deptaka się tam nie poluje, zwierzynie

zaś podają karmę. Dodać należy, że to zwierzyna własna, bo lasy w obrębie gminy otoczone dokoła polami, i niewątpliwą to zasługą p. Adolfa Jawetza, że stan zwierzyny taki świetny. Strzałów nie rachowano, bo niktby się ich nie dorachował; w niektórych miotach trwała palba jak na manewrach przed atakiem. Polowanie prowadzone wzorowo — aura dość pomyślna — humory znakomite, do czego przyczyniła się i serdeczna gościnność gospodarzy. Rozpisałem się o tem polowaniu szerzej, bo wpadł mi w ręce z 1900 r. I. Nr. „Łowca“, gdzie w sprawozdaniu z polowania w Korolówce wyczytałem, że w 35 strzelb ubito 11 zajęcy; wierzyć się nie chce prawie!

Nie dziwiłbym się wcale, gdyby w przyszłym sezonie znalazło się w Korolówce na rozkładzie jakie 500 zajęcy, czego Tobie, zacny gospodarzu i Twoim gościom życzy jeden z wielu tegorocznych gości. *J. A.*

Hawłowice górne, p. Pruchnik, 15. marca 1910.

Dnia 14. bm. odbył się w Jarosławiu Zjazd delegatów Towarzystwa łowieckiego pow. jarosławskiego, na który oprócz delegatów zjawiło się na zaproszenie przewodniczącego Eustachego Wolskiego kilku członków Tow. łowieckiego. Celem zjazdu tego było przedewszystkiem zapoznanie się z nową ustawą łowiecką. Po odczytaniu tej ustawy, całe zgromadzenie nabrało przekonania, że wadliwe jej przepisy przyczynią się bezwarunkowo do zupełnego zahamowania dotychczasowego rozwoju łowiectwa. Wobec tego przewodniczący zaznaczył, że teraz delegaci z podwójną gorliwością powinni dbać o rozwój łowiectwa, a również czuwać nad wyborami do sądów rozjemczych, które wedle okólnika c. k. Namiestnictwa w najbliższej przyszłości mają być przeprowadzone.

Przy tej sposobności zdaję sprawę, że w roku 1909. zawiązało się tu Towarzystwo myśliwskie Kańczucko-Pruchnickie, obierając prezesem p. Aleksandra Dworskiego. Terenem łowieckim tegoż Towarzystwa są tylko pola wyżej wspomnianej okolicy. W bieżącym sezonie odbyły się tylko dwa polowania, mianowicie jedno w Pantetowicach, gdzie padło w 7 strzelb 50 zajęcy, drugie w Wieczkowicach, na którem w 4 strzelby ubito 25 zajęcy.

Z uznaniem podnieść należy, że w miesiącu lutym sprowadziło Towarzystwo kilkanaście zajęczyc, które na kilku łanach wypuszczono; jest więc nadzieja, że wkrótce stan zwierzyny się poprawi, zwłaszcza, że i strażnicy tegoż Towarzystwa tępią psy i koty, wałęsające się po polach, oraz wszelkie inne szkodniki i drapieżniki.

E. Wolski.

Sprostowanie. W numerze 6. „Łowca“ na str. 69. umieściliśmy korespondencyę z Chlebowa, w której zaszły pomyłki druku. Ma tam być: „Scyranka lasu nie ma, Poznanka Gniła, Poznanka Hetmańska — również, w Zarubińcach nie polowano“. Dalej w wierszu 16-tym mylnie wydrukowano, że padło zajęcy 47, zamiast 147.

KRONIKA.

Kłusownicy w okolicach Paryża zaspakajają znaczną część potrzeb w zwierzynie targu paryskiego, a między sobą tworzą doskonale zorganizowany „cech“, którego statuty ułożone są na wzór statutów kas chorych. Jeżeli członek cechu zostanie aresztowany, wówczas rodzina jego doznaje wydatnego wsparcia, na wypadek konfiskaty sieci towarzystwo kupuje mu nowe, jeżeli jest raniony, płaci za niego doktora i aptekę. Kłusownicy tamtejsi nigdy nie strzelają zwierzyny, tylko posługują się długiemi sieciami. Przeniesieniem zwierzyny do Paryża zajmują się kobiety.

Import zwierzyny do Paryża. Statystyczny wykaz zwierzyny, skonsumowanej przez ludność paryską, a sprowadzonej w kilku ostatnich miesiącach tak z Francyi, jak i z innych krajów, podaje imponującą cyfrę 2,640.000 kg., a mianowicie: we wrześniu 1909 skonsumował Paryż 1,723.000 kg. zwierzyny, w październiku 298.000 kg., w listopadzie 311.000 kg., czyli przeciętne zapotrzebowanie dzienne wynosiło 22.000 kg. We wrześniu rzucono na targi paryskie 300 skowronków (!), 41.032 przepiórek, 11.203 bażantów, 47.838 dzikich królików, 14.113 francuskich, a 6.256 zagranicznych zajęcy, 96.462 francuskich, a 21.936 zagranicznych kuropatw, 306 jeleni, sarn i danieli, 4 dziki i t. d., razem 1,239.914 sztuk, których sprzedaż przyniosła 3½ miliona franków dochodu. Cóż na to powiedzą wrogowie łowiectwa? Nie jestże ono poważną gałęzią kultury i bogactwa krajowego?

Czytelnia polska akademików górniczych w Przybramie prosi nas o umieszczenie poniższego: Dnia 2. lutego odbyło się w „Czytelni“ Zwyczajne Walne Zgromadzenie, na którem wybrano następujący Wydział na rok administracyjny 1910: przewodniczący kol. Brodziński Stefan, sekretarz I. Wroński Kazimierz, sekretarz II. Łukasiewicz Włodzimierz, skarbnik Cygler Jan, bibljotekarz Barański Jerzy, gospodarz lokalu Adamek Jan, czasopiśmienny Kowalczyk Piotr. W Kółku „Bratniej Pomocy“: przewodniczący kol. Barański Jerzy, sekretarz Skorupski Jan, skarbnik Łukasiewicz Włodzimierz. Komisja rewizyjna: kol. Płaziński Jan i Zakrzewski Stanisław. Z górniczem szczęść Boże! *Wydział.*

Z Państwowego Związku myśliwskiego. Wydział Państwowego Związku myśliwskiego odbył posiedzenie w dniu 5. marca pod przewodnictwem posła do parlamentu, dra Karola bar. Chiari'ego. Z polskich członków wydziału obecnym był JE. dr. Witold Korytowski. Wybrano osobny komitet prasowy i agitacyjny, w skład którego wszedł redaktor „Łowca“, p. Albert Mniszek. Ustanowiono nadto zasadę, że do powyższego komitetu należeć mają przewodniczący i delegaci wszelkich stowarzyszeń myśliwskich, należących do Państw. Związku myśliwskiego. Wreszcie z Galicji powołano na członków komitetu Juljusza Aleksandra hr. Bielskiego ze Lwowa i Romana hr. Potockiego.

Komitet ten odbędzie wspólne posiedzenie w dniu 3-go kwietnia w Wiedniu; zadaniem komitetu będzie zajęcie się przedewszystkiem urządzeniem „Dnia myśliwskiego“ w dniu 4. czerwca w Wiedniu, na którym zostaną poruszone najważniejsze kwestye z zakresu łowiectwa. Komitet ma również zainteresować Dniem myśliwskim jak najszersze koła łowieckie, a więc właścicieli dóbr, dzierżawców polowań, myśliwych zawodowych, towarzystwa i urzędników lasowych, jakoteż straż leśną. Nadto będzie zadaniem komitetu zająć się obniżeniem cen jazdy koleją i kosztów utrzymania w Wiedniu dla zwiedzających wystawę myśliwską, która, jak wiadomo, zostanie otwarta dnia 8. maja.

Następnie wybrano 5 radców Związku, samych Niemców. Wyrażono również opinję, że posady dozorców na wystawie myśliwskiej winni dostać w pierwszym rzędzie zawodowi strzelcy, będący obecnie bez posady. Omówiono

wreszcie ustawy myśliwskie Moraw, Styrji i Galicji, na czem posiedzenie zakończono.

Wystawa łowiecka w Wiedniu. Generalny komisarjat Wystawy ogłasza, że otwarcie jej nastąpi dnia 2-go maja b. r.

Ze względu na to, że do tego czasu wszystkie drogi na terenie wystawowym się znajdujące muszą być naprawione i doprowadzone do wzorowego porządku, ogłasza gen. komisaryat, że z dniem 31. marca r. b. jeźdżenie po tych drogach ciężkimi wozami zostaje zakazane, — przedmioty więc, na wystawę przeznaczone, będą musiały być po tym czasie przenoszone przez teren wystawowy lub też przewożone na wózkach.

Wyjątek stanowi tylko droga, prowadząca do północnego portalu rotundy, do której nadal i ciężkie wozy mają dojazd otwarty.

Z Tarnopola dochodzą nas skargi na restauracyę „Hotelu Podolskiego“, która według jadłospisów z d. 7. i 8. marca br. podaje do spożycia „kuropatwy“ i „zające“, będące obecnie w czasie ochronnym. Myśliwi powinni więc zademonstrować przeciw temu pogwałceniu ochrony i unikać restauracyi, władza zaś ukarać winowajcę.

Pierwszą słonkę zabił w Rudzie (pod Radłowem), dnia 17. b. m., w rewirze leśniczego p. Karola Scherautza adjunkt lasowy p. Idzi Markiewicz — prócz tego zabito 2 słonki 17. marca w Budzie. pod Głogowem.

Komitet pomnika cesarza Franciszka Józefa w Ischlu, którego odezwę umieściliśmy w ostatnim numerza „Łowca“, urzęduje w Wiedniu, I., Kärtnerstrasse Nr. 36. Tam też należy przesyłać wszelkie datki na ten pomnik.



Sprawy Towarzystwa.

Za sprawą Szanownych delegatów i członków gal. Towarzystwa łowieckiego, a to pp. Dr. Sandera, Romana Żurowskiego i Władysława Gürtlera, którym za godną naśladowania dbałość o rozwój Towarzystwa szczera należy się wdzięczność — wpisali się w poczet Członków pp.:

Janowski Jerzy
Kocowski Klemens
Pollo Kazimierz
Wczelik Klemens
Wencel Alojzy.

Wydział Towarzystwa.



NEKROLOGJA.

†

Stanisław Żukowski

Ubył świeżo z szeregów naszego Znaku Towarzysz dzielny i serdeczny, który kultowi św. Huberta całą służył duszą. Nieubłagana śmierć zawcześnie niestety przecięła pasmo dni życia ś. p. Stanisława, zabrała Go bowiem z tego świata w pełni sił męskiego wieku, kiedy wedłng ludzkiej miary, a nie wyroku Boga — nie pora Mu jeszcze było na wieczysty spoczynek. Przedwcześnie więc ubył społeczeństwu działacz miary niezwykłej, pełen wielkich zasług na polu przemysłu naftowego, z którego, w żelaznych rękach śp. Stanisława, jako dyrektora kopalni Towarzystwa karpackiego. bogactwo kraju wzrastało olbrzymio.

Zapisać tu trzeba fakt, że niestrudzony ten Organizator stowarzyszeń pracy, padł jak żołnierz na posterunku! Bo oto w chwili, kiedy dziękował Zgromadzeniu wyborców za powierzone Mu obowiązki wiceburmistrza gminy Wolanki — umilkł nagle i niestety, na zawsze, w skutek udaru serca.

Do słów pożegnalnych, pełnych żalu głębokiego, wygłoszonych u trumny śp. Stanisława przez Jego współpracowników, do uczucia bezmiernej boleści Osób, sercem Mu najbliższych — dorzucamy, jak garść ziemi do mogiły śp. Stanisława: serdeczne wyrazy żalu i niezatartej pamięci imieniem najbliższych Mu towarzyszy myśliwych.

Cześć Jego pamięci!

Sew. Krog.

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Szczenięta pointery angielskie po znakomitych rodzicach do sprzedania. Wiadomość: **Józef Dobrzyński Kraków**, Sławkowska 12.

Pincza białego pokojowego, odmiany karłowatej, kupię zaraz. — Oferentów proszę o dokładny opis wyglądu miary, rodzaju, pochodzenia pincza oraz oznaczenia ostatniej ceny. **Feliks Kleinman**, kandydat adwokacki, Żmigród.

Okazyjnie do nabycia mało używana, pierwszej jakości, znakomicie ostrzelana dubeltówka angielska, systemu **Lancastra** (kurkowa), cal. 12; firmy **„Geo. H. Daw. 57. Threadneedie Street London“**-Lufy „Croié“ (cylindryczne). Zamknięcie: „Patent Selp. Lo. king. Vertical Grip“.

Oglądać można w Redakcji „Łowca“, ul. Jagiellońska 3, od godz. 11—1, **a próbować tylko we Lwowie.**

Śliczny puchacz do zbycia A. Strihafka Chmielowa. poczta Czernelica.

TEATR

FATA MORGANA

Hotel Belle-Vue ul. Karola Ludwika 27 i ul. Rejtana 6.

W wspaniale odnowionej sali wyposażonej w wszelkie możliwe udogodnienia rzęsiście oświetlonej, odbywają się codziennie od godz. 4. do 10. wieczór przedstawienia obrazowe z dziedziny sztuki, nauki, przemysłu, zdjęć prześlicznych z natury; rzeczy nie tylko rozweselające, ale nadzwyczaj pouczające. — Staraniem dyrekcyi przedsiębiorstwa jest i będzie w przyszłości danie P. T. Publiczności możność zabawienia się po cenie nader niskiej.

Kasa otwarta codziennie od godz. 3·30 zaś przedstawienie rozpoczyna się punktualnie o godz. 4. i trwa pięć do sześciu kwadransy.

Dyrekcya.

Wszelkie kupony

i wylosowanę papiery wartościowe

wypłaca bez potrącenia prowizyi lub kosztów

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemkiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku krajowego,
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
i wszelkie renty państwowe.

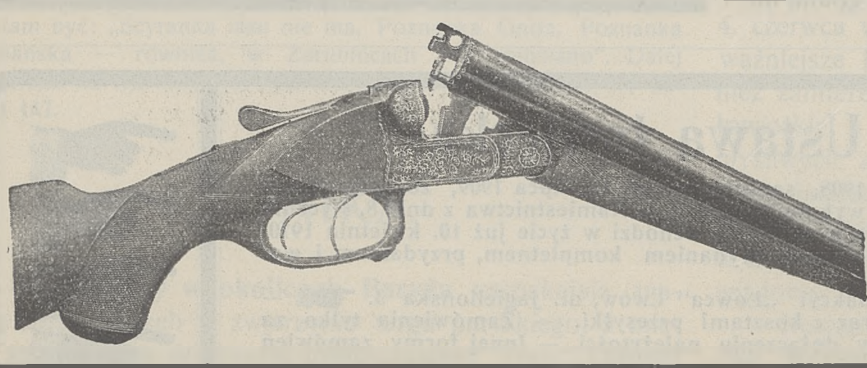
Nadto polecamy akcye Galic. Towarzystwa elektrycznego.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

KANTOR WYMIANY

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.



Karol Birtus

Magazyn broni i towarów galanteryjnych

Tarnów, ul. Krakowska l. 1

poleca

Broń myśliwską najlepszej jakości, oraz wszelkie przybory dla P. T. Myśliwych.
Wyroby nożownicze oryg. angielskie w wielkim wyborze, jako to: brzytwy, scyzoryki, nożyczki, maszynki do golenia i strzyżenia włosów.
Przybory do podróży, kuferki, walizki i torebki.

Cenniki darmo i opłatnie

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**